



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 772

176
Łcikowski.

Protokół I.

PROTOKÓŁY PIERWSZEGO KURSU KORPUSU PIONIERÓW

T R E Ś Ć.

1. List otwarty do Pierwszego Marszałka Polski.
2. W walce o nową szkołę.
3. Protokół I wykładu polowego.



Cena 60 gr.

1 9 2 7.

BIBLIOTEKA REWOLUCJI PEDAGOGICZNEJ
NAKŁADEM AUTORA

SKŁAD GŁÓWNY DOM „KSIAŻKI POLSKIEJ” SPÓŁKA AKCYJNA
WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY № 8.

LIST OTWARTY do Pierwszego Marszałka Polski.

Panie Marszałku!

Żyjemy w czasach, w których gniew ludu spalił i zburzył Pałac Sprawiedliwości nad Dunajem za to, że tam w murach tej rzekomej Świątyni została uniewinniona i przez to usankcjonowana zbrodnia zabójstwa jednego z obywateli kraju.

I nie wolno zjawiska tego, jak to już czyni prasa nasza, tłumaczyć jedynie akcją bolszewicką.

Bo znają ponure dzieje Pracy niejedyn fakt podobny.

Nie ocalił wszak nawet kościół Franciszkanów znanie-nitego skądinąd rycerza, Jędrzeja Tęczyńskiego, w r. 1461 od gniewu mieszczan krakowskich za to, iż ten rycerz znie-ważył czynnie płatnerza krakowskiego, Klemensa.

A na nienawistny dekret partji rojalistycznej we Fran-cji w r. 1830, nakazujący branie do wojska robotników od lat 18 do 25, sto tysięcy robotników paryskich wzniosło ba-rykady i oświadczyło, że raczej zginą, niż poddadzą się nie-nawistnemu prawu.

Nie uchodzi bowiem bezkarnie żadna krzywda ludzka; a jeśli i ujdzie to tylko pozornie, tylko do czasu, aby potem swój głos dołączyć do strasznego Głosu Dnia Sądu.

A cóż dopiero mówić o krzywdzie, wyrządzonej całemu młodemu pokoleniu, tysiącom, setkom tysięcy bezbronnych faktycznie istot.

Czyja krew zmyje zbryzgane krwią uczniów-samobójców mury szkół polskich w Wilnie, w Krakowie, w Warszawie, a ostatnio w Skierniewicach?

Wszak każdy z nas wie, a właściwie, wiedzieć powi-nien, że t. zw. samobójstwo jest w istocie swojej zawsze for-mą, zamaskowaną beczelnie i z całym cynizmem, formą morderstwa społecznego (bez kosztownego może obecnie kata).

Za każdym samobójcą ukrywa się morderca. I za tymi wszak biednymi chłopakami, którzy krwią i mózgiem swoim zbryzgali mury Szkoły Polski Niepodległej (o ironjo!) w Wil-



nie, w Krakowie, Warszawie i t. d. a ostatnio w Skierniewicach, stoją ukryci, umywający nabożnie ręce, mordercy.

A obrońcy ich mówią, podobnie jak ci obrońcy morderców w Wiedniu: oni (ci dyrektorzy, ci wychowawcy) zabić ich nie mogli, oni rewolwerów przecież nie mieli, a ci chłopcy najwyraźniej zginęli od kul rewolwerowych.

I naród im dotychczas wierzy. Ale co będzie, gdy naród uświadomi sobie całą ohydę i sromotę tego rodzaju obrony i zażąda Sądu, prawdziwego Sądu Rzeczypospolitej i więzień ciężkich dla tych pilatowskich morderców.

Kto wówczas, Panie Marszałku, przyjmie na siebie odpowiedzialność za skutki tego strasznego wybuchu gniewu, odwiecznej, nie dającej się nigdy okłamać Sprawiedliwości?

I to jest pierwsza sprawa, którą w tym liście poruszam.

A teraz druga...

A dotyczy ona zbrodni również, zbrodni na duchu tego, zaprawdę, nieszczęsnego młodego pokolenia.

Nie wystarczy mi tu słów, ani miejsca na opisanie i umotywowanie i uzasadnienie tej zbrodni.

Ale racz, Panie, wejrzeć choćby na to, któż to sprawuje rządy nad duszami synów obrońców przyszłej Polski?

Oto bez przesady powiem, że przeważnie *absolutni dezertery*.

Ludzie, którzy nigdy nie walczyli ani o Niepodległość Polski Duchowej, ani o polityczną Jej Niepodległość.

Ludzie, którym zdaje się i w głowie nawet taka idea Niepodległości duchowej nie powstała, okupanci, kapitulanci różnego typu, owe potępione przez wieszczą „pawie i papugi“, które, dorwawszy się do władzy, natychmiast zrzekły się wszelkiej samodzielności duchowej i albo jęły się rozkoszować tradycjami Szkolnictwa państw zaborczych, albo, co tchu pośpieszyły zagranicę, skąd poprzywoziły na pół zwietrzałe i spróchniałe tam wzory.

A przecież żadne lata służby u zaborców nie zrównoważą świadectw ducha wieków i ducha ofiary, złożonych przez tych, którzy walczyli istotnie o Ideę Polską.

I oto, czcigodny Panie Marszałku, jeśli rewolucja moralna ma być robotą nie przelotną, nie tymczasową, ale tą robotą na wieki, powinna ona objąć i tę dziedzinę oświecenia publicznego.

Rzeczą przecież jest wprost nie do pomyślenia, abyśmy mieli dyrektorów Szkół średnich, którym aż okólnik p. ministra W. R. i O. P. powinien przypominać, aby uczciwie i grzecznie postępowali z nauczycielami.

A i to jest również nie do zniesienia, aby wszelka inicjatywa twórcza ze strony nauczycielstwa polskiego, była

traktowaną z protekcyjnie uśmiechniętą aprobatą bez żadnych możliwości jej wykonania,

A przecież nawet tak, zdaje się, nakazana przez ducha czasu inicjatywa, jak to popularyzowania choćby, w szeregach młodzieży Nauki o Pracy, zostaje zbagatelizowana przez czynniki rządzące.

Zwracam się do Ciebie, Panie, bo tak mi nakazuje poczucie obowiązku Polaka, którego jego filozofja narodowa nauczyła, że wszelka ofiara krwawa—wojna, rewolucja—musi być odkupioną, uświęconą ofiarą z Ducha.

Racz przyjąć Panie Marszałku, wyrazy wiary, iż misję Swą Opatrznościową spełnisz do końca.

Jan Belcikowski.

W walce o nową szkołę.

Poważne, groźne niedomagania naszego szkolnictwa stają się już źródłem powszechnej troski i obawy o przyszłość naszego młodego pokolenia a więc i całego narodu.

Bo i w samej rzeczy jest nad czem zadumać się głęboko, Wszak pomimo wielu cennych i ożywionych najszlachetniejszymi myślami prac na tem polu, przychodzimy do ponurego wniosku, że dotychczas nie zdobyto się u nas na ściśle i zdecydowane określenie celu naszej szkoły, nie zorientowano się należycie w osobliwościach naszego materiału uczniowskiego, nie zdołano również uzgodnić organizacji i programów szkolnych z Ideą Polski i z instynktem samozachowawczym narodu.

O tych dwóch ostatnich czynnikach, zresztą, jakby wogóle zapomniano (może wstydliwie unikając wspomnienia o jakowejś misji narodowej).

I oto powód, dla którego wступujemy w jakiś nowy okres prac syzyfowych, w okres walki, rzecz dziwna, w szkole polskiej o Ideę Polski, o ideę nie tymczasowej, względnej, ale wieczystą niepodległej Polski.

Na nic też np. się zdało dziejowe doświadczenie stuleci, potwierdzające ten pewnik, że instykt, temperament, nerw naszej młodzieży nigdy, właściwie, nie zapalały się ani do szkoły duchownej, ani świeckiej, największym natomiast, płonęły animuszem w różnego rodzaju szkołach wojskowych, rycerskich, w szkołach, poświęconych, co prawda, pracy, ale pracy tej osobliwszej, wojującej, zdobywczej.

Tej pracy, która nakazuje, woła: musicie zdobyć świat, choć pod pewnym jakimś względem, musicie świat zdobyć

a duch szkoły powinien dodać: i zdobyć w pierwszym rzędzie wewnątrznie, t. zn. zdobyć serca i myśli świata.

Określając atoli bliżej, konkretniej ten świat, powinniśmy się zwrócić do tej zapomnianej, a tak rozpaczliwie poszukiwanej obecnie, Idei Polski.

Otóż, treścią tej Idei w dobie dzisiejszej będzie idea rozwiązania tragedji rewolucji, tej tragicznej walki pomiędzy Kapitałem a Pracą, która od wieków się toczy.

Koordynując teraz, tak pojętą Ideę Polski, z instynktem i z powyżej zaznaczonym temperamentem narodowym, dojdziemy do zasadniczego, ogólnego narazie ujęcia typu naszej szkoły, jako jednej z odmian szkół wojskowych, podległych jednak nie władzom militarnym, ale wielonym do Armji Pracy Zdobyczej.

Harmonizując tę zmianę co do ducha naszej szkoły z jej nazwą, tonem, stylem, musielibyśmy się jednocześnie zdecydować na usunięcie tych już, zaprawdę, pół żywych terminów, jak: gimnazjum filologiczne, humanistyczne, matematyczno-przyrodnicze a na ich miejsce wprowadzić np. korpusy pionierów, kierowników, instruktorów i wykonawców.

Nie zapominajmy bowiem, że już sam bezdźwięczny, zamurowany jakiś wyraz „szkoła“ zatracił obecnie swój urok i swoją moc suggestywną do tego stopnia, że żadne radości, czary, uroki go nie wskrzeszą.

Co do programów tych korpusów pracy, to, oczywiście, byłby w nich usunięty obecny bezsensowny podział na t. zw. przedmioty główne i podrzędne, hierarchja, natomiast, przedmiotów byłaby oparta na przedmiocie centralnym, za któryby uznana została Nauka o Pracy z prawem,—że tak powiemy—rozkazowania innym przedmiotom i ich koordynowania.

Popularyzując powyższe projekty, chcielibyśmy przekonać zaskoczzonego zbyt może gwałtownymi naszymi decyzjami czytelnika, że naszkicowane powyżej pomysły nasze są jedynie bardziej może jaskrawym i zdecydowanym wyrazem dążności, zawartych w dziełach różnych wybitnych pionierów naszej myśli pedagogicznej.

Wszak nawet tak daleki od militarizmu przedstawiciel naszego szkolnictwa urzędowego, jak p. Władysław Radwan, w swoich Postulatach uderza w surmę zbrojną i nawołuje do przygotowywania podoficerów i niższych oficerów armji pracy (str. 39).

I w tymże traktacie (na str. 8) stwierdza:

„Żyjemy w czasach wielkiego konfliktu społecznego. Jakąkolwiek teorię zechcemy pod ten konflikt podłożyć; jakiegokolwiek idee zechcemy z nim związać, w jakimkolwiek kierunku zechcemy szukać jego rozwiązania—każdy, kto nie chce chować głowy w piasek, musi ten wielki konflikt, jako

fakt historyczny widzieć i musi go przy jakimkolwiek planowaniu pracy brać pod uwagę“.

To samo uznanie decydującego znaczenia w projektowanych reformach szkolnictwa momentu tragedji spotykamy i w Szkole Twórczej, prof. Henryka Rowida.

„Ewolucja stosunków społecznych—pisze Rowid—powoduje zupełne przekształcenie szkoły. Trzeba sobie zdać sprawę, że żyjemy w czasach przełomowych, w dobie rewolucyjnego przekształcenia się stosunków kulturalno—społecznych.“

A dalej cytuje socjologa Znanieckiego: „Społeczeństwa dzisiejsze stoją wobec konieczności wytworzenia nowej organizacji kulturalnej w tych dziedzinach, w których dziś panuje system arystokratyczno—centralistyczny; jeżeli tego nie uczynią, prawdopodobnie kultura ich runie w gruzy“.

A dalej za Devey'em nawołuje wprost do rewolucji pedagogicznej:

„Istotne, głębokie przeobrażenie naszej cywilizacji—może wyjść tylko z rewolucji pedagogicznej, a nie z rewolucji politycznych, ekonomicznych lub technicznych“ (str. 139).

O struny wojenne potraça czasem i pr. Jerzy Ostrowski. W jego znów Żywej Szkole czytamy:

„Nie posiadając granic naturalnych — wówczas jedynie czuć się możemy bezpiecznie, kiedy każdy obywatel posiadać będzie cechy charakteru, konieczne dla żołnierza dzisiejszego“. (str. 53).

W formie konkretnej i realnej, aczkolwiek w innym tonie, ujmuje rzecz prof. Adamczewski.

Stwierdziwszy, że nie w przeszłość, ale raczej w przyszłość ma być wpatrzona szkoła polska, oświadcza on z naciskiem, że szkoła polska średnia nie jest pomostem pomiędzy szkołą powszechną a uniwersytetem, ale ma wychować inteligencję, t. j. tę część społeczeństwa, która bez względu na to, z jakich klas się rekrutuje, spełnia w niem rolę inicjatorów, organizatorów, regulatorów wszelkiej pracy w społeczeństwie, rolę ośrodków jej motorycznych, lub organów pośredniczących, rolę duszy narodowej, twórców nowych jej wartości, inspiratorów i budowników, z drugiej zaś strony kierowników, pośredników między pracą duchową a fizyczną, słowem: system nerwowy, który w społeczeństwie stanowi inteligencja jest dziś widać najbardziej chory! (Poeci rómantyczni w programie szkolnym, str. 10, 11).

Na zakończenie, jako na groźne memento powołamy się na myśli Stanisława Szczepanowskiego z końca jeszcze wieku XIX:

„Cała prawie nasza literatura obecna, całe prawie dziennikarstwo, uniwersytety, szkoły są pod bezwzględnem panowaniem sofistów i estetyków, „wyzwalających“ ducha narodu—

wyzwalających od obowiązków i przygotowujących naród do jarzma upadającej niewoli. Czas jest założyć protest przeciwko temu kierunkowi nie tylko w imieniu idei polskiej, ale i w imieniu obrażonej godności ludzkiej, na straży której stoi i stać będzie idea polska ze zwyciężskim poczuciem, że prawda zwyciężyć musi.

„To wytworzenie nowego plemienia ludzi, ludzi, łączących starą krew a nowy zakon, to warunek zasadniczy, a zarazem najtrudniejszy wskrzeszenia ojczyzny i odbudowania jej na nowych podstawach”. (Idea Polska wobec prądów kosmopolitycznych, str. 109—10).

Ale wychowanie tego nowego plemienia ludzi, tej nowej rasy potężnej, wymaga osobliwszego ciśnienia atmosfery duchowej.

Dla jej atoli wytworzenia nie wystarczy zrobić dla młodzieży mniej więcej to, co w wieku XVI Żamoyski uczynił dla szlachty polskiej, to jest ostatecznie, przez to głosowanie viritim, przewrócił jej w głowie.

Ani też nie wystarczy uznać nasze dzieci za jakies istoty cudowne, samorzutnie łaknące, gorączkowo poszukujące skarbów mądrości i wiedzy.

Ale tu w tym olbrzymim procesie pracy nad wytworzeniem tego nowego plemienia, potrzeba, jak przy każdej rzetelnej pracy, współdziałania ducha, tworzącego bohaterów, zaś duch ten u nas, jak uczy doświadczenie wieków, ogniskował się nie w szkołach t. zw. duchownych ani świeckich, ale w szkołach typu rycersko-wojskowego.

Jan Belcikowski.

(„Przegląd Wieczorny“ Nr. 157).

OBJAŚNIENIE.

Protokół poniżej podany I Kursu Pionierów jest próbą hierarchicznego ustosunkowania różnych przedmiotów do naczelnej Nauki o Pracy, co stanowi, jak wspomnieliśmy, w Walce o Nową Szkołę, jeden z postulatów programu tej szkoły.

Z dyskusji prowadzonej tu w Duchu Pracy wyłaniają się różnorodne, mniej, lub więcej ważne tematy, które potem już szczegółowo, metodycznie, na ochotnika, na amatora opracowują oddzielni uczniowie.

Używając terminu współczesnego tematy, poruszane w wykładzie powinny zawierać w sobie najwięcej witamin, tkanek żywych.

Nadmieniliśmy nadto, że Kurs Pionierów, który tu występuje, niebawem rozpadł się wskutek wrogiego wprost stanowiska do organizatora dyrekcji zakładu.

Gdy pozatem wszelkie starania nasze, nawet u Najwyższej Władzy Państwa, nie odniosły realnego skutku i rzecz nie do wiary, wydanie tak niezbędnej rzeczy, jak Księga Ducha Pracy, napotykała na trudności nie do przewyciężenia, powziąłem wówczas decyzję rozpętania rewolucji pedagogicznej w obronie tego czynnika, który już cały świat kulturalny uważa za podstawę bytu narodów, a co zostało występnie zlekceważone przez nasze programy szkolne.

Protokół I-go wykładu polowego.

Dnia 11 sierpnia 1926 r. na wzgórzu, zajętem przez gimnazjum koedukacyjne w K. o godz. 9 m. 30 stanął w szeregu I-szy improwizowany oddział Pierwszego Kursu Pionierów w składzie 15 uczniów klas V i VI oraz nauczyciela-organizatora, Jana Bełcikowskiego.

Po sprawdzeniu: czy każdy z uczestników ma ołówek i notatnik, oraz stanu zaprowiantowania oddziału (5 bochenków chleba, 52 jaja, kilo cukru, herbata sucha i jabłka), Organizator objaśnił uczniom cel i zadanie tych pierwszych zwiadów, poczem, stojąc przed szeregiem, dodał:

„Idziemy... nie w podziemią, nie tam, gdzie stoją grobowce zmarłych, nie do muzeów zabytków i śladów przeszłości nie na piękne wybrzeża rzek, mórz i jezior, nie do teatru, nie na komedję, ale idziemy tam w ogień życia, które się tworzy. tam, gdzie od wieków rozgrywa się najcięższa walka: między straszną żądzą zysku, a pragnieniem szczęścia i sprawiedliwości, między żelaznymi nakazami nieubłaganej konieczności a umiłowaniem wolności, między duchami światła i ciemności, idziemy tam, gdzie ogniskują się obecnie najgłębsze dramaty świata, gdzie tworzą się nowe sumienie i nowa etyka... idziemy do fabryki“.

O godzinie 9 m. 45 oddział z pieśnią: „raduje się serce, raduje się dusza“, wyruszył w kierunku lasu na Kabatach“.

Na przestrzeni pierwszych trzech kilometrów wyłoniły się w oddziale dwie sprawy zasadnicze:

sprawa odżywiania się

i sprawa odpoczynku, raczej odnowienia sił.

Pobudką do poruszenia pierwszej sprawy stał się spór,

który wybuchł niespodzianie na tle niesprawiedliwego rzekomo podziału jabłek.

Podniosły się głosy, że jabłek stanowczo za mało, że ci, co pozostali w domu otrzymają dziś jabłek więcej, niż oddział, który przez bory i lasy, w promieniach palącego słońca, kroczy ku źródłom nowej wiedzy.

Gdy spór ten doszedł już do pewnego szczytu, wtedy Organizator zwrócił się do oddziału z zapytaniem: „Jaki właściwie, związek zachodzi pomiędzy temi jabłkami, a duchową organizacją pracy?”

W odpowiedzi wnet posypały się okrzyki: sprawiedliwość, dziewczęta (one to przeważnie pozostały w domu), zachęta, premja, odżywianie się...

Po odrzuceniu narazie pierwszych czterech tematów, zatrzymano się na odżywianiu się.

Po krótkiej dyskusji okazało się, że oddział ma bardzo słabe pojęcie o istocie tego zagadnienia, że słyszał jedynie zaledwie coś nie coś o kalorjach.

Wówczas Organizator w szczerem polu zatrzymał oddział i, stanąwszy pod drzewem, zaimprovizował krótki wykład o procesie odżywiania się.

Wykład o procesie odżywiania się.

Organizator podkreślił wielką złożoność tego zagadnienia, uzależnionego faktycznie od organizacji Pracy całej ludzkości.

Zwrócił uwagę na skandaliczny wprost fakt przymierania od głodu i zimna (warunków klimatycznych) omal nie połowy ludności świata.

Podał dla przykładu parę danych statystycznych, co prawda jeszcze z roku 1907, ale znamienne i dla naszych czasów.

Otóż, w roku wspomnianym, ilość żyta, wyprodukowana na całym świecie wynosiła 87 miliardów kilogramów.

Każdy człowiek powinienby spożywać rocznie około 200 kilo żyta (chleb, ciasto, kluski).

Wszystkich ludzi na ziemi liczono wtedy 1.500 milionów, a więc suma niezbędnego żyta wynosiłaby 300 miliardów rocznie, to znaczy musiałaby czterokrotnie prawie przewyższać pełny światowy zbiór roczny.

Tu powstała krótka dyskusja wobec tego, że przecież istnieją ludy, które nie znają żyta, a odżywiają się ryżem, kukurydzą, bananami.

W rezultacie tej dyskusji stwierdzono, że istniejącego żyta nie starczyłoby nawet dla grupy ludów europejskich, wynoszącej około 600 milionów ludzi, wymagających dla sa-

mych siebie 120 miliardów żyta wówczas, gdy, jak wspomnieliśmy, najwyższa podaż żyta osiągała sumy 87 miliardów.

Potem Organizator dotknął sprawy cukru, którego cały świat, w tymże roku 1907 wyprodukował zaledwie $\frac{1}{6}$ potrzebną dla całej ludzkości i nieco więcej, niż $\frac{1}{3}$ ilości pożądanej dla grupy europejskiej. (Roczna produkcja cukru wynosi 15 miliardów).

Następnie Organizator przeszedł do sprawy odzieżowej i stwierdził, że na półtora miljarda ludzi: 500 zaledwie milionów ma ubranie w komplecie, 750 milionów jest półubranych, zaś 250—zupełnie nagich. Oto dodał, smutny, ale wołający wielkim głosem o pracę, obraz ludzkości w skrócie cyfrowym. 750 milionów oberwańców, 250 milionów nagusów zupełnych.

Tu powstała krótka dyskusja, z której wynikło, że źródło panującej niedoli leży nie tylko w niesprawiedliwym podziale dóbr, ale też w znacznej mierze i w poważnym braku tychże dóbr, co znów wymaga właśnie spotęgowania wydajności pracy ludzkiej i wykorzystania umiejętnego każdej piędy ziemi.

Poczem oddział w skupieniu ruszył dalej. Po drodze Organizator przytoczył kilka oślepiających wprost swoją wydajnością przykładów umiejętnie zorganizowanej pracy w ogrodach pod Paryżem i na wyspie Jersey, na kanale La Manche.

Otóż $\frac{11}{10}$ hektara ogrodu warzywnego Ponce'a pod Paryżem, przynosi 10.000 kg. marchwi, tyleż cebuli, rzodkwi i innych drobnych ogrodowizn, 3.000 sztuk kalafiorów, 5.000 koszków pomidorów, 5.000 tuzinów owoców wyborowych, 154.000 głów sałaty, razem 125 tonn warzyw i owoców.

Podobnież na wyspie Jersey, cztery hektary ziemi pod szklę przynoszą 143 tonny różnych produktów, oprócz roślin ozdobnych.

Tu powstała krótka dyskusja, podczas której wyłoniła się sprawa odżywianie się robotników: w Polsce, w Niemczech, we Francji, w Anglii, w Ameryce i t. d.

Sprawę tę przekazano amatorom do opracowania, przyczem Organizator ostrzegł przed trudnościami, grożącymi badaczom tej dziedziny życia, wynikającymi z braku odpowiedniej statystyki porównawczej.

Dopiero ostatnimi czasy — dodał Organizator — nasz Instytut Gospodarstwa Społecznego zajął się np. sporządzeniem statystyki odżywiania się naszych robotników.

Poczem postanowiono zebrać odnośne materiały, co do odżywiania dzieci w sąsiednich szkołach powszechnych: w Jeziornie Wielkiej, w Jeziornie Fabrycznej, w Powsinie, w Kon-

stancinie i t. d., przyczem Organizator zauważył, że w tym kierunku powinien, właściwie, pracować nasz współczesny nowy regionalizm.

Jedna miejscowość powinna współzawodniczyć z drugą w sprawie najlepszego utrzymania swego życia na najwyższym stopniu dobrobytu i kultury.

Poczem wyłoniła się kwestja nowego regionalizmu, który Organizator określił, jako jedno ogniwo — kółko w złożonym systemacie zachęt do pracy. Regionalizm potęguje szlachetne współzawodnictwo między gminami, powiatami i województwami, podobnie, jak to ongiś czyniły cechy średnio-wieczne.

Tu niespodzianie powstała krótka dyskusja na temat stosunku poezji do pracy.

Ktoś zauważył, że okresowi t. zw. pracy organicznej towarzyszył upadek poezji, już nawet któryś z bohaterów Krasińskiego wołał: poezjo, bądź przekłeta!

Wobec złożoności tego zagadnienia Organizator obiecał wyświetlić nieco tę sprawę na pierwszym przystanku w lesie, zaś narazie zaproponował wypowiedzieć jakiś wiersz, poświęcony Poezji pracy.

Wówczas jeden z uczestników zadeklamował wiersz Brauna p. t. „Prometej Pracy“.

Oto urywek tego wiersza:

Na pola Polski—śniegiem okryte przed wiosną,
Gdy wczesne niebo pachnie tak słodko i ostro —
Na lasy, które drzemią, w wieczyste igliwie
Otulone — Przy rzekach, szemrzących tak tkliwie,
Na wsie, wsłuchane rankiem w świergot—rechot—
|klekot—

Na drogi, rozpekane od deszczów i spiekot —
Na wrące męką miasta w elektrycznej racy,
Jak wicher wiosnę napłyniesz, o, Poezjo Pracy!
Nad plantacje buraków, nad parowe pługi
Sunie twój wiew świeży, przyciągły a długi,
W fabrycznych hałach oddech twój gorący parzy,
Miłosnemi wargami muskając cień twarzy,
Ręce, spięte wysiłkiem, mięśnie, gdy się skurczą
W spójni ciał, przenikniętych jedną myślą twórczą!
O, poezjo, dysząca tchnieniem pracy szarej,
Świat świeży, jak świat-ogród, wyśnij mi, wyczaruj!
Podaj zdobycz, wydartą pragnieniom i siłą
Każ być zdarzeniom, których po dziś dzień nie było!
Spłyn w nas, jak rzeka jasna, pluszcząca, na którą,
— Młyn, głodny ziarna—ostre swe wystawia pióro,

Aby niem poruszała, chłodna i gorąca,
 Bo, jak świat, który żyje tylko z pracy słońca,
 Tak ja w mądrości, która żywy świat przewierca
 „Żyję z cichej. największej pracy mego serca!“

O godzinie 11-ej zatrzymano się na odpoczynek na wystającym zębie lasu, na Kabatach.

Tu Organizator, nawiązując do tematu o związku Pracy z Poezją, poruszył zagadnienie zmęczenia i zapytał uczniów: jaki zachodzi związek pomiędzy wierszem a momentem odpoczynku?

Z dyskusji stąd powstałej, wyłoniła się niebawem sprawa rytmu, jako źródła siły i jako niezbędnego warunku dobrze zorganizowanej Pracy, t. zw. pracy optymalnej.

Zwrócono uwagę na rytm życia szkolnego, na te ściśle określone przerwy między zajęciami i na zmiany zajęć i mimowoli poczęto się zastanawiać nad tem, co by się działo w duszy ucznia, gdyby nie ożywiała go ta pewność, że po jednej lekcji przyjdzie nieodwołalnie, nieubłaganie, koniecznie druga, albo, że po skończonych lekcjach, o godz. 1 m. 15, z takąż samą nieubłaganą koniecznością podadzą mu obiad.

To poczucie nieodwołalnej, niepowstrzymanej konieczności — dodał Organizator — i stanowi jeden z zasadniczych elementów rytmu.

Tu powstała gorętsza dyskusja.

Ktoś sobie przypomniał, że tańcząc kiedyś noc całą, nie doznał wcale zmęczenia.

Okazało się, że na podobne zjawisko zwrócił uwagę nawet inżynier amerykański, Emerson, poczytując za rzecz możliwą prowadzenie niektórych robót fabrycznych w tempie tańca, albo, jak np. inż. Gilbreth, przy akompaniamencie muzyki.

Poczem odezwał się głos, iż w szkołach angielskich i zdaje się, szwajcarskich uczniowie mają wolne i czwartki, zaś w niektórych szkołach amerykańskich został jakoby wprowadzony wręcz inny rozkład zajęć: oto w ciągu np. jednego całego miesiąca bez zmiany uczniowie studjują literaturę, w ciągu następnego matematykę, potem historję i t. d.

Po krótkim omówieniu tych tematów i przekazaniu ich amatorom do szczegółowego opracowania, Organizator podkreślił raz jeszcze ten ścisły związek, w jakim od wieków pozostają zmęczenie i odpoczynek, praca i pieśń-zabawa, zapomnienie o sobie z przypomnieniem o sobie, przyczem zachęcił do bliższego zaznajomienia się ze studjum p. Wincetego Jastrzębskiego, p. t. „Organizacja Pracy Fizycznej“. oraz z rozprawą prof. Zielińskiego o Piosnce Roboczej, stanowiącej jeden z rozdziałów jego głębokiego studjum: „Ze świata Idej“.

Poczem Kurs ruszył w dalszą drogę.

Po drodze niespodzianie wyłoniła się sprawa organizacji pracy w zakładach Forda.

Organizator uczuł się nieco zakłopotanym.—W istocie—oświadczył—Ford wypłaca robotnikom minimum 6 dolarów dziennie, co przy 25 dniach roboczych stanowi dolarów 150 miesięcznie, a przy 300 dniach pracy rocznej 1500 dolarów rocznie, suma. jak na nasze stosunki olbrzymia—13.500 zł.

Z listów atoli robotników z Detroit wynika, że ich rozchody miesięczne po wojnie wzrosły w czwórnasób i wynoszą 162 dolary miesięcznie (35 dolarów komorne, 70 dolarów utrzymanie rodziny pięcioosobowej, 15 dolarów obuwie, odzież, reperacja, za samochód na raty, 25 dolarów, opał i światło—4 dolary, podatki różnego rodzaju 3 dolary, drobne wydatki: tytoń, teatr, gazeta, tramwaje—10 dolarów).

I tu, właśnie, kryje się niezrozumiałe, napozór, niezadowolenie robotników Forda, tem większe, że jak wiadomo, Ford nie uznaje ani ubezpieczeń na starość, ani udziału robotników w administracji fabrycznej.

Bądź co bądź, Ford jest wielki—dodał Organizator, a jego idea pogodzenia interesów kapitału z interesami robotników jest godną tytana—półboga.

Bardziej szczegółowe zbadanie tej sprawy odłożono na przyszłość — — —

— — — Scieżyna na skraju lasu białała wzdłuż dawnych okopów wojennych, które, oczywiście, stały się po chwili przedmiotem rozważań na temat stosunku wojny do Pracy.

Poruszono, między innemi, projekt mającego się zorganizować, hufca szkolnego i stwierdzono, że przysposabianie się do wojny obronnej jest rzeczą konieczną. Wojna jest nieszczęściem, ale są większe nieszczęścia, np. niewola.

Tu powstała krótka dyskusja w sprawie najszybszego i najmniej męczącego kopania rowów, podczas której Organizator przytoczył parę doświadczeń z ostatniej wojny.

Jedno z nich omawia Karol Myers, w swoim studjum p. t. „Umysł i Praca“.

Wypadek dotyczył dwóch współzawodniczących ze sobą grup żołnierzy. Chodziło o to, która z nich będzie mogła wykopać większą ilość jardów na froncie, w określonym czasie.

Oficer jednej grupy podzielił swych ludzi na 3 oddziały, tak, że mógł udzielić każdemu z nich 10 minut odpoczynku, po każdych pięciu minutach pracy.

Drugi oficer nie zastosował do pracy swoich robotników żadnego systemu. Jego ludzie kopali aż do wyczerpania, spoczywali na chwilę, poczem znów wracali do pracy.

Pierwsza grupa wyprzedziła z łatwością drugą.

Postanowiono dokonać podobnegoż eksperymentu u siebie i złożyć w tym celu w ofierze parę godzin, poświęcanych stale piłce nożnej.

O godzinie 12 m. 30 zbliżono się do wału, wznoszącego się na północnej stronie terenu fabrycznego cegielni w Dąbrówce.

Tu, na tym wale spożyto drugie śniadanie.

O godzinie 13 rozpoczęto zwiedzanie fabryki w towarzystwie wielce uprzejmego jej dyrektora, p. Lewoskiego.

Szczegółów tych oględzin nie byliśmy w stanie zaprotokółować należycie. W ciągu trzech godzin, im poświęconych, przesunęło się tyle wrażeń i tematów, że żaden z sekretarzy oddziału nie był w stanie ich uporządkować.

Może to, zresztą, wina Organizatora, który zdażył jeno szepnąć uczniom: „szukajcie tu ołtarza i ofiary głównej. Fabryka, to też świątynia osobliwsza“.

Podajemy więc poniżej najbardziej znamienne momenty tego naszego pierwszego wywiadu, na terenie fabrycznym dokonanego.

F a b r y k a.

Podążając po linii całego systemu wózków żelaznych, przewożących glinę do maszyn, od wznoszącego się dumnie elewatora, wstąpiliśmy w sieć ponurych korytarzy, aż znaleźliśmy się w jakimś niby hall'u okrągłym, na którego stronie przeciwległej widniała, niby pieczara tajemnicza, niszka głęboka a ciemna, u której wejścia wykonywały dziwne, szybkie, rytmiczne ruchy trzy młode dziewczyny.

Mimowoli zatrzymaliśmy się, spojrzeli na siebie, potem znów na nie i głowy nam się same pochyliły.

W istocie, te trzy dziewczyny robiły wrażenie jakiejś żywej ofiary na ołtarzu bezlitosnego boga Konieczności.

Z głębi wspomnianej pieczary wysuwał się nieskończenie długi prostopadłościan szarej masy surowej cegły, a one stały nad nim i jedna z nich odcinała przytwierdzonym do maszyny łukiem cegłę, druga kładła ją szybko na przebiegającej przed jej oczyma po długiej, długiej linie, szalki, mknące gdzieś w bezkresną głąb korytarzy fabrycznych, trzecia ocierała ruchem błyskawicowym stalową cięciwę łuku.

Gdyśmy tak stali w zadumie, nagle rozległ się głos, dopędzającego nas dyrektora fabryki.

„A tu mają panowie, tłumaczył dyrektor, klasyczny przykład zastosowania zasady podziału pracy. Tu niema ani sekundy do stracenia! Tu maszyna pędzi człowieka. Niech się

ta oto dziewczyna (wskazał na tę, która składała cegły na szalki) spóźni, choć o moment, wnet szalka ją uderzy w rękę. A nie zapominajcie panowie, że każda taka para cegły surowej, mokrej, waży 36 dawnych funtów”.

„A ileż takich par dziennie one mają przełożyć?” zapytałem.

„10.000 par” — odrzekł dyrektor.

Spojrzelismy po sobie i szybko dokonaliśmy obliczenia.

„A więc w ciągu ośmiogodzinnego dnia pracy ta dziewczyna miałaby przenieść na długość metra (odległość od łuku do szalek) 360.000 funtów” — zawołaliśmy.

„A tak—odparł dyrektor — ale one, widzą panowie podzieliły się między sobą pracę. Pół dnia jedna tnie cegły a druga podaje je na szalki, tak, że obciążenie jednej wynosi, właściwie, tylko 180.009 funtów, czyli—72.000 kilo”.

Po tem oświadczeniu dyrektora, postanowiliśmy po powrocie do domu, rozwiązać zadanie matematyczne na temat obciążenia tych robotnic.

„Pamiętajcie tylko—zauważył Organizator—że przy określaniu granic zmęczenia, musimy również uwzględnić ilość niezbędnych dla wykonania tej pracy kaloryj, a to znów wymaga zbadania stanu ich odżywiania”.

Widząc na naszych twarzach wyrazy mimowolnego współczucia dla tych robotnic, dyrektor fabryki zauważył:

„Panom, jak widzę obciążenie tych dziewcząt wydaje się nadmiernem. W istocie, pozornie praca ich wydać się może zbyt ciężką; wszak każda z nich przenosi dziennie z punktu A na punkt B, odległy od A o jeden metr, mniej więcej 4.500 dawnych pudów, nie zapominajmy jednak, że jedna kaloria, zamieniona na pracę równa się sile, zdolnej podnieść 427 kg. na wysokość jednego metra”.

Zanotowaliśmy sobie te dane i ruszyliśmy dalej.

Im głębiej wchłanialiśmy w siebie atmosferę życia fabrycznego, tembardziej potęgowało się w nas wrażenie, że jesteśmy świadkami jakiegoś tajemnego, ale faktycznie najrealniejszego, misterjum życia.

Ofiara, ofiara, na każdym kroku ofiara, wszędzie dookoła ofiarnicy, kapłani.

Oddają nieświadomie zapewne, ale oddają bezwątpienia światu nie tylko swój czas, swoje siły, ale i swoje ciało i krew swoją, jak matka, która karmi dziecko.

I mimowoli ogarniał nas ból i przygnębienie i powstawało w duszach naszych nawpół wyraźne pytanie: dlaczego tu, wśród tych murów, nie tak, jak we wnętrzu świątyni? Dlaczego tu nie palają promienie słońca i nie płyną lekkie, łagodzące, odświeżające fale powietrza? Dlaczego tu nie roz-

brzmiewają organy i nie rozrzucają barw dzieła sztuki malarzkiej?

Gdyśmy opuścili mury tej dziwnej, nowożytniej świątyni, Organizator rzekł:

„Widzę, że jesteście wzruszeni i stoicie niby wobec jakiejś zagadki sfinksowej. Wiedźcie więc, że to nietylko na was tak fabryka działa.. Wielu z naszych pisarzy opisywało życie fabryczne. W tej chwili przychodzą mi na myśl słowa Bolesława Prusa:

„Każda z istniejących fabryk ma swoją indywidualność. Są fabryki logiczne i głupie, rzetelne i szachrajskie, moralne i niemoralne... Fabryka to duch zbiorowy... Teraźniejsze fabryki są jeszcze bardzo niskimi organizacjami. Czy jednak sądzisz, że dzisiejsze zamęty w świecie pracy istniałyby, gdyby w fabryce tętniło żywe uczucie? Gdyby smutek, spotykający jednego pracownika, udzielał się innym, gdyby kierownicy troszczyli się o usuwanie przykrości a nasuwanie przyjemności wykonawcom“. (Emancypantki, t. IV, str. 39—41).

W tej chwili nadjechał młody właściciel fabryki, p. Wacław Rostkowski, od którego dowiedzieliśmy się o zorganizowaniu spółdzielni robotników cegielni, o otwarciu kina dla robotników i o innych nadto stymulansach, jak np. orkiestra itd.

„Za rzecz mego sumienia — dodał właściciel—uważam nie stosować żadnej redukcji personelu, oraz zagwarantować robotnikom pracę całoroczną, nie tak, jak w innych cegielniach, które pracują, jak cukrownie, sezonami. W ten sposób robotnik u nas ma ten spokój o dzień jutrzejszy, który stanowi niezbędny warunek wydajnej pracy i zacieśnia węzły solidarności pomiędzy kapitalistą a robotnikiem“.

Z rozmowy z właścicielem wynikała konieczność wprowadzenia pewnego sprostowania wiadomości, udzielonych przez dyrektora fabryki co do pracy tych trzech dziewczyn przed „pieczarą“.

Otóż, przedewszystkiem jedna cegła mokra nie mogła ważyć ponad 5 kilo, a więc para ważyła 10 kilo, czyli około 25 funtów dawnych (a nie 36, jak wspomniał dyrektor).

Również i ilość tych par nie mogła wynosić 10.000 wobec rocznej produkcji — 4.000.000, a wynosiła zaledwie 7.000.

Z tego wynikało, że na każdą robotnicę wypadało do przeniesienia na długość (też nie jednego całego) mniej więcej pół metra nie 72.000 kilo a 35.000 kg.

Podczas tych dyskusyj mogliśmy się przekonać jak trudno coś dokładnie obliczyć w procesie pracy fabrycznej.

Na tem kończymy ten protokół pierwszego improwizowanego wywiadu I. Kursu Korpusu Pionierów.

